

Na drodze do Emaus

Autor: ks. Józef Tischner
20.04.2008.

Na drodze do Emaus, czyli Papież i jego krytycy Przeciętny mieszkaniac Zachodu wiedział o kardynale Karolu Wojtyłe w dniu wyboru na papieża przynajmniej tyle, że przychodził on ze świata komunizmu, w którym działali ludzie zdolni do najwyższych poświęceń w imię wolności i prawdy. Totalitaryzm miał swoich katów i swoich bohaterów. Na stolicy Piotrowej stanął jeden z bohaterów. Kojarzono z nim także kard. Stefana Wyszyńskiego, a po jakimś czasie jeszcze Lecha Wałęsę. Wszyscy trzech przychodzili z "bohaterskiej Polski". Nie stwierdzam tego sam od siebie, lecz cytuję rozmówcę - Niemca, który w okresie stanu wojennego jako kierowca ciężarówki przywoził nam pomoc. Mówił: "Co wy, Polacy, myślicie o naszej pomocy? Nie powinniście sądzić, że pomagamy wam, by zamazać winy ojców, zaciągnięte w czasie wojny. Te winy nie są do zamazania. Pomagamy wam za to, co dziś nam dajecie: za Wyszyńskiego, Wojtyłę, za Wałęsę". Papież przychodził ze świata, który pochłoniętemu troską o dobrobyt Zachodowi był coraz bardziej obcy, który jednak budził głęboki respekt. Spotkanie z cudzym heroizmem wywołuje dwojakie reakcje: u jednych podziw, u innych lęk. Czy sprostą on wyzwaniom czasu? Ku czemu nas pociągnie? Czy do nas, zwykłych zjadaczy chleba, nie będzie przykładł swej własnej miary? Wśród uczuć podziwu, wątpliwości i lęku pojawiła się jednak również szczególna nadzieja - nadzieja na zawłaszczenie. W rozpalonym napięciach świecie każda siła chciała "mieć Papieża dla siebie". Konserwatyści chcieli go mieć konserwatystą, liberałowie liberałem, demokraci oczekiwali demokratyzacji Kościoła, teologowie wyzwolenia "rewolucjonistą", rzecznicy postępu domagali się nowoczesności, ludzie zatroskani o tożsamość nawoływali do wierności dla tradycji... Byli i tacy, którzy żądali, by małżonkowie mogli się rozwodzić, a duchowni mogli się żenić. Jeśli dodamy do tego oczekiwania komunistów i wezwania przeciwników komunizmu, otrzymamy ogromne kłębowisko sprzeczności. Za każdą postawą szły ostrzeżenia i obietnice: jeśli Papież mnie nie posłucha, Kościół czeka niechybna klęska, a jeśli posłucha, świat uklęknie przed Kościołem. Można, oczywiście, przejść obok tych sprzeczności z obojętnym wzruszeniem ramion. W końcu one same nawzajem się znoszą. Można jednak również spojrzeć głębiej i zobaczyć w nich dramat czasu. Czy kiedykolwiek w historii był taki okres, w którym by oczekiwano od Kościoła tak wiele? Nowy Papież musiał w jakiejś mierze rozczarowywać. Nie można urzeczywistniać sprzeczności. "A myśmy się spodziewali..." - mówili uczniowie na drodze do Emaus. Rozczarowani występowali z krytyką. Jakież to były i są krytyki? Pomijając konkretną zawartość, u ich podłoża wciąż wyczuwa się pragnienie zawłaszczenia. Nie są to krytyki całkiem "obiektywne". Na ogół nie odnosi się słów Papieża do rzeczywistości i nie twierdzi, że słowa są inne, a rzeczywistość inna, ale odnosi się je do siebie, do własnej hierarchii wartości, własnych pragnień i oczekiwań, i stwierdza, że "Papież nie zadowala". Oznacza to jednak, że Papież nie jest obojętny. Jeśli ktoś przeżywa rozczarowanie, to dlatego, że gdzieś na dnie duszy niesie uznanie, a nawet podziw. W postawie rozczarowanych tkwi bolesna sprzeczność: krytyka zdradza jakiś podziw, nieokreślony bliżej podziw pobudza krytykę. Bezustannie powtarza się jedno: Papież nie jest "dostatecznie mój, a tak by się chciało, by był". Jeśli mówię o krytyce, to nie po to, by usunąć w cień rozumienie i uczestnictwo w papieskim trudzie, które jest zdumiewająco wielkie. Wyrazem jednego i drugiego są tłumy przychodzące na spotkania z Papieżem. Owocem jest codzienny trud wokół idei pojednania religii, wyznań, narodów, wokół pokoju i praw człowieka. Dobra wola wyzwala dobrą wolę. Czy jakiś inny przywódca ludzkości wyzwala dziś tyle dobrej woli? Ale właśnie dlatego spojrzenie na pontyfikat w jego dwudziestolecie przez oczy krytyków - rozczarowanych, zawiedzionych, cierpiących na "pretensję" - może wydobyć na jaw pozostające w cieniu strony tego pontyfikatu. Oczywiście, nie jestem w stanie wyczerpać tematu, chcę raczej otworzyć drzwi dla refleksji specjalistów od poszczególnych zagadnień. **SPRAWA JĘZYKA** Zanim podejmiemy niektóre tematy "rozczarowanych", powiedzmy kilka słów na temat języka Jana Pawła II. Sprawa jest ważna. Aby mówić do dramatycznie podzielonego świata, trzeba było znaleźć język wrażliwy na ból tego świata. Czy Jan Paweł II odnalazł wspólny język z tym światem? Już po kilku pierwszych wystąpieniach, a zwłaszcza po pierwszych encyklikach powtarzano: Papież mówi innym językiem. Na czym polegała "inność"? Nie był to język scholastyki. Nie był to jednak również język "racjonalizmu", jakim posługiwały się i wciąż jeszcze posługują intelektualne, a zwłaszcza polityczne elity Zachodu. Papież mówił własnym językiem. Zdradzał inną wrażliwość, inne otwarcie, inny świat. Proponował jakiś rodzaj medytacji pochylonego nad światem świadka wartości ponadświatowych. Był to jednak przede wszystkim język wspólnoty - jakiegoś szczególnego międzyludzkiego "my". Nikt nie pisze i nie mówi w samotności. Piszemy nie tylko dla kogoś, pisze się również z kimś. Wiadomo, dla kogo Jan Paweł II pisze: dla ludzi dobrej woli. Z kim pisze? Z kim rozmawia? Mam nieodparte wrażenie, że pisze i rozmawia z ludźmi bliskimi: może z przyjaciółmi z teatru, może z profesorami z uniwersytetu, może z towarzyszami fizycznej pracy, może z penitentami, może z bohaterami dawnych utworów literackich i dziesiątkami innych, niemożliwych do rozszyfrowania, a mieszkających w pamięci osób. Zapewne także z tymi, których spotyka podczas pielgrzymek. Mówi z nimi i dla nich, a często także zamiast nich. Mówiące "Ja" Jana Pawła II

stało się mówiącym "My". Wszyscy są w końcu uczestnikami tej samej sprawy. Pozostanie tajemnicą, jakie miejsce w tym "My" zajmuje Ten, który powiedział: "Będę z wami aż do skończenia świata".

PAPIEŻ POLAK Po wyborze polskiego kardynała na papieża ukazało się mnóstwo publikacji, których celem było przybliżenie jego postaci ludziom Zachodu. Jedną z nich jest praca Horsta Herrmanna: "Papież Wojtyła - święty błazen" (1983). Pozostawmy tytuł bez komentarzy. Zwróćmy uwagę na rozdział pierwszy: "Pozostaniesz polskim biskupem" - ojczyzna Wojtyły i jej tradycja mesjanistyczna". Rozdział ten odsłania "przedrozumienie", z jakim autor podchodzi do nowo wybranego papieża. Punkt wyjścia okazuje się prosty: Wojtyła jest Polakiem i jako Polak musi nieść w sobie tradycje romantyczne i skłonności nacjonalistyczne, a jako syn umęczonego narodu musi głosić i praktykować mesjanizm. Romantyzm - nacjonalizm - mesjanizm - oto trzy kategorie przedrozumienia, z jakimi podchodzi się do człowieka z Polski. Okazuje się zarazem, że są to trzy główne kierunki odstępstwa Papieża od ideologii Oświecenia. Sprawiają one, że Jan Paweł II pozostanie kimś obcym dla człowieka Zachodu. Autor podjął trud, by poznać bliżej dzieje Polski. Jego uwagę przykuł wiek dziewiętnasty: romantyzm, powstania. Wspomina Mickiewicza, Słowackiego (wiersz o papieżu słowiańskim), Krasińskiego, Hoene-Wrońskiego, Cieszkowskiego, mesjanizm. Znalazło się też miejsce na cytaty z Wincentego Lutosławskiego. Znamienne, co pominął. Nie ma mowy o kimś tak znamionym dla myślenia Karola Wojtyły, jak Norwid. Nie ma ani słowa o wpływach późniejszej fenomenologii i filozofii wartości, zwłaszcza zaś Maxa Schelera. Przede wszystkim nie ma ani słowa o doświadczeniach wyniesionych z czasów wojny. Mając taką wizję polskości i będąc przekonanym, że żaden Polak nie jest w stanie wykroczyć poza zakreślony horyzont romantycznego mistycyzmu (nie ma również mowy o pracy Karola Wojtyły na temat św. Jana od Krzyża), zobaczyliśmy na papieskim tronie postać obcą zachodniej, racjonalistycznej umysłowości. Autor przygotował czytelnika na najgorsze. Sprawił jednak tym samym, że zupełnie niezrozumiałe stało się coś, co stanowi istotny rys pontyfikatu Jana Pawła II: obrona praw człowieka. Prawa człowieka są wymysłem Oświecenia. Jak romantyk, irracjonalista i nacjonalista może być zdecydowanym ich obrońcą? A przecież, kto zna jako tako dzieje recepcji idei praw człowieka przez Kościół, ten wie, że broniąc tych praw, Papież staje w poprzek nurtu, który nie tylko znamionował totalitaryzm, ale również odgrywał dominującą rolę w Kościele. Prawa człowieka u "mistyka mesjanizmu"? U nacjonalisty, który powinien śpiewać "Polen, Polen über alles"? Jak to możliwe? Znamienne jest również to, że ani Herrmann, ani bodaj żaden inny krytyk pontyfikatu nie postawił pytania o skutki zetknięcia Karola Wojtyły z Oświęcimiem i Kołymą. Czy zetknięcie to nie miało żadnego znaczenia? Czy nie zaważyło na spojrzeniu na Europę? Proszę wybaczyć osobiste wyznanie. Patrzyłem na okupację jako dziecko, widziałem stosunkowo niewiele, rozumiałem niewiele. Mimo to obrazy z tamtych czasów wciąż we mnie tkwią. Z niemieckim "raus" kojarzą mi się krzyczące postacie w brunatnych mundurach na jakichś stacjach kolejowych. Znaczenie słówka "für" poznałem z napisów: "nur für Deutsche". Sam zawdzięczam bardzo wiele kulturze niemieckiej, którą podziwiam. A jednak, ile razy znajdę się w Niemczech, widzę twarze i słyszę niemiecką mowę, wspomnienia natrętnie wracają, a wyobrażenia mimo najlepszej woli ubiera przechodzących obok mnie nieznanym w jakieś brunatne bądź czarne mundury. Pamiętam dreszcz, gdy odkryłem, że język niemiecki może być również językiem liturgii. Okupacja siedzi we mnie głęboko i mocno, mimo że nie byłem bezpośrednim świadkiem największych okrucieństw. Co powiedzieć o tych, którzy przeszli przez piekło? Karol Wojtyła widział więcej niż ja i więcej rozumiał. Ale pozostało coś, czego - podobnie jak my - do końca nie rozumiał: nie rozumiał, jak to było możliwe? Jak to było możliwe w kraju o tak wysokiej kulturze i tak dawnej tradycji chrześcijańskiej? Pytanie: "Jak to było możliwe?" płące się wśród przedstawień naszej wyobraźni, wisi nadal nad naszym obrazem Europy. Jest pytaniem o rodowód zła, o kantowskie "zło radykalne". Odpowiedzią Oświecenia jest wskazanie na "błędy doktryny". Zło nie tkwiło w ludziach, lecz w ideologii, która uwiodła ludzi. Odpowiedź ta jest utrzymana w duchu racjonalizmu: rozum przegrał, ponieważ nie był dość stanowczy w zwalczaniu przesądów. Ale odpowiedź ta nie zadowalała. Doświadczenie zła epoki krematoriów jest przez to tak tragiczne, że spleta się z widokiem człowieka, który czyni zło. Nie byłoby tego zła, gdyby człowiek nie przylgnął do zła. Gdyby nie znalazł w nim jakiegoś upodobania. Gdyby widok zniszczeń nie napawał go dumą. A jeśli człowiek mógł przylgnąć do zła, to chwieje się nasza wiara w człowieka. Jeśli więc ktoś chce zrozumieć Papieża poprzez jego "polskość", to powinien w swym przedrozumieniu umieścić widok Oświęcimia. Ten widok jest ważniejszy niż widok scen z literatury romantycznej, choć i one nie są bez znaczenia. A gdy już ktoś zdobędzie się na odwagę i zapyta o sens tamtego widoku, powinien zadać drugie pytanie: jak się to stało, że Karol Wojtyła nie tylko nie stracił wiary w człowieka, ale jeszcze ją pogłębił? Dlaczego został księdzem? Dlaczego został biskupem w komunistycznym kraju? Dlaczego działał w nim tak, a nie inaczej? Szukając odpowiedzi na te pytania, natrafi - być może - na Ewangelię. Czy to coś rozjaśni? Jeśli nie dotrze do Ewangelii i jeśli Ewangelia niczego nie rozjaśni, lepiej niech nie szuka rodowodu. Pozorne odkrycia, jakie przedstawi, powiedzą wiele niedobrego o nim, ale nic o Janie Pawle II.

MIEDZY OSOBA A DOKTRYNA Wspominając Sobór Watykański II, Eugen Biser pisał w 1996 r.: "Najważniejszy okazał się impuls, którym dla duchowości była zasada dialogu, jaką Sobór przyjął". I dodawał: "Zasada ta dotyczy nie tylko nowego stosunku papieża i biskupów, biskupów i duchownych, proboszczów i

wspólnot i nie tylko wzajemnego współżycia wyznań i religii, lecz także stosunku człowieka do Boga Objawienia, który pozwala, by wiara rozumiana dotąd jako posłuszeństwo pojawiła się w perspektywie hermeneutycznej i ukazała jako rozwijające się rozumienie Boga". To ważne stwierdzenie: wiara nie jest aktem posłuszeństwa, ale odpowiedzią na wezwanie - odpowiedzią, która jako zaufanie i rozumienie rozwija się i dojrzewa w czasie. Inaczej wychowuje się do posłuszeństwa, a inaczej do rozumienia. Wychowanie do rozumienia preferuje doświadczenie wiary, a nie "zobiektywizowany dowód", umiejętność czekania, a nie decyzje na wyrost, zachętę, a nie "instruowanie". Autor zauważa również: "Bezsprzecznie najpiękniejszym owocem Soboru okazuje się nowe odkrycie postaci Jezusa, dzięki któremu publikuje się wiele nowych książek, których autorami są obok chrześcijan również Żydzi i co dziwniejsze także ateści". Zainteresowanie postacią Jezusa ma sens złożony. Idzie ono pod prąd racjonalizmu, którego szczytowym przejawem było Oświecenie.

Ideologia ta zawierała paradoks: z jednej strony wyносиła na piedestał człowieka i jego prawa, z drugiej starała się opisać tajemnice świata za pomocą wzoru matematycznego, w którym człowieczeństwo zanikało, stając się prostą funkcją wielu uzależnień. Można było pięknie mówić o człowieku, ale prawdziwym zaufaniem należało obdarzyć zmatematyzowane teorie świata. To nie człowiek, lecz "słuszna doktryna", którą głosił, jest siłą dziejów. Aby uwolnić ludzkość od epidemii, głodu, chłodu i gorąca, od przemocy władzy i ucisku kapitału, nie był jej potrzebny Chrystus-Zbawiciel, lecz człowiek-odkrywca, uczony-eksperymentator, polityk otoczony gronem ekspertów. Wiara chrześcijańska szła w przeciwnym kierunku. "Fides" - zaufanie - oznacza więź z człowiekiem, zaufanie do człowieka, zawierzenie człowiekowi. Dzieło zbawienia dokonało się przez czyn Syna Bożego, a nie przez doktrynę. Z drugiej jednak strony doktryny przekreślać nie można, bo ona opowiada o czynie. Czyn musi mieć sens, sens musi być zakorzeniony w czynie. We współczesnym świecie odkrywamy głębokie napięcie pomiędzy dwiema nadziejami: nadzieją na "słuszną doktrynę" i nadzieją na "nowego człowieka". Napięcie to w przypadku Papieża jest szczególnie jaskrawe. Nie wszyscy są zdolni, nie wszyscy mają ochotę i warunki, by pojąć doktrynę, ale niemal wszyscy... patrzą. Papież z dzieckiem na rękach... Papież wśród chorych... Papież na nartach... Papież się modli... Jaki głos ma Papież? Jak dziś wygląda? Z kim mówi? Papież - człowiek, Papież - widzialny symbol niewidzialnych wartości, Papież - następca Piotra. Papież - namiestnik Chrystusa. Kim on właściwie jest? "Fides quaerens intellectum..." Papież - tajemnica naszego świata. Za chwilę wspomnę o krytykach doktryny. W sprawie osoby powiem tylko tyle: strzały wymierzone w Papieża na placu św. Piotra w pamiętny majowy dzień, nie były strzałami w doktrynę, były strzałami w Osobę. **SPRAWA DOKTRYNY** Mówi się, że Sobór Watykański II miał charakter "pastoralny" i tym różnił się od poprzednich Soborów, w których chodziło zazwyczaj o ustalenie jakiegoś "dogmatu wiary". Pastoralny charakter mają również posoborowe konflikty Kościoła. Prawda wiary nie jest po to, by zaspokajać teoretyczną "ciekawość", lecz po to, by być "pokarmem" na drodze zbawienia. Nie znaczy to, by wszelka teoria była zbędna. Znaczącej raczej, że teoria musi się liczyć z celami, jakim służy. Oczywiście, konsekwentne rozdzielenie wymiaru praktycznego i teoretycznego religii nie jest możliwe. Co sprawia jedność "teorii i praktyki"? Jedność wynika ze świadomości Dobra. W tekstach Jana Pawła II odgrywa ono kluczową rolę. Dobro jest "teoretyczne" i "praktyczne" zarazem. Gdy mówimy, że coś "jest dobre", to dajemy tym samym do zrozumienia, że powinniśmy o to "coś" zabiegać, to "coś" praktykować. Za pomocą słowa "Dobro" Papież wprowadza nas w podstawowy wymiar wiary. Jednocześnie nie pozwala nam zapomnieć o złu, które określało i wciąż jeszcze określa nasz wiek i naszą codzienność. Dobro jest zawsze dobrem dla kogoś. Dziś, dzięki myśli dialogicznej, wchodzimy coraz głębiej w rozumienie znaczenia owego "dla". Okazuje się, że Bóg jest Najwyższym Dobrem dla człowieka, że człowiek żyje dla Boga i bliźniego, że rzetelna wspólnota jest dobrem dla jednostki, podobnie jak jednostka jest dobrem dla wspólnoty, że praca jest dla człowieka, a nie człowiek dla pracy, że wychowanie musi rozwijać się wokół doświadczenia dobra, że nauka jest poszukiwaniem prawdy, która jest podstawowym dobrem człowieka. Podobnie podstawowym dobrem jest wolność. Nikt nie jest dobrym z konieczności, z przymusu - aby być dobrym, trzeba wybrać dobro, przyswoić sobie dobro. Wolność to jednocześnie odpowiedzialność, a odpowiedzialność to zdolność do wierności. Dobro znajduje się ponad interesem. Człowiek otwiera się na dobro dzięki wspaniałomyślności. Ono nie daje się z niczego "wydedukować", lecz można je obserwować i opisać przede wszystkim w postaci Jezusa Chrystusa. Myślenie w horyzoncie dobra wyróżnia się zarówno od myślenia scholastyki, jak od myślenia racjonalizmu. Myślenia te mówią wiele o człowieku, ale nie mówią z człowiekiem. W mowie z człowiekiem ujawnia się istotny sens doktryny Jana Pawła II. Wokół tej doktryny toczą się liczne spory. Przyjrzyjmy się nieco bliżej dwóm sporom: wokół erotyzmu i wokół polityki.

MITOLOGIA EROTYZMU
Trzon papieskiej argumentacji w sprawach erotyzmu ma charakter etyczny. Argumentacji etycznej nie przysługuje zniewalająca rozum oczywistość. Pisał o tym już Arystoteles. Jej celem jest uświadomienie człowiekowi jego powinności, a nie wymuszenie konieczności. Argumentację można podważać, wskazując na trudności urzeczywistnienia czy osobisty "interes". Argumentacja kieruje się nie tylko do katolików, lecz również niekatolików. Gdyby miała charakter religijny i konfesyjny, pozostawałaby wewnętrzną sprawą Kościoła, jak post w piątki, i nie budziłaby tak żywych protestów. Punktem wyjścia

argumentacji jest "dobro osoby". Erotyzm jest podstawowym "dobrem osoby", pod warunkiem, że się nie przeszkadza, żeby był on otwarty na to, na co otwarta go sama natura. Guido Knopp i Christian Deick w książce pt.: "Watykan. Władza Papieża" (1997) napisali na temat Jana Pawła II: "Wedle jego rozumienia użycie środków antykoncepcyjnych degraduje kobietę w sposób niedopuszczalny do poziomu przedmiotu rozkoszy". Użyte tu słówko "degraduje" - jest jednym ze źródeł nieporozumień. Co znaczy "degraduje"? Jeśli "kobieta chce" i "mężczyzna chce", to nie ma "degradacji". "Degradacja" byłaby wtedy, gdyby ktoś kogoś do czegoś przymuszał. Rysuje się przeciwieństwo: dla stanowiska "liberalnego" nie ma innej winy, jak wina przeciw partnerskiej wolności, dla Papieża odpowiedzialna miłość nie ogranicza się do odpowiedzialności za wolność samego partnera, lecz wychodzi "ku temu trzeciemu" i obejmuje naturalny owoc miłości - dziecko, człowieka. Przyjrzyjmy się bliżej stanowisku "liberalnemu". Błędnie rozumiemy to stanowisko, gdy uważamy, że w tym ujęciu "wszystko wolno". Wcale nie "wszystko wolno". Wolno tylko to, na co pozwala wolność innego. Nie wolno natomiast naruszyć cudzej wolności. Ale wtedy konsekwencją takiego "poszanowania cudzej wolności" jest to, że ja, "szanujący" wolność, mogę czuć się zwolniony z odpowiedzialności za to, co inna wolność wybiera. Jej sprawa, jej wina. Moja wolność stała się wolnością Piłata, który "umywa ręce". Gest "umycia rąk" jest szczytem góry lodowej, zbudowanej z mniemań i domniemań dotyczących erotyzmu, cielesności, losu człowieka na świecie. W wyniku działania wielu czynników, dokonała się w czasach nowożytnych głęboka zmiana znaczenia erotyzmu. Erotyzm stał się czymś więcej niż tylko erotyzmem: przyjął na siebie znaczenia i funkcje, które "nie jego są". Stał się miejscem ucieczki od zimnego świata, zapomnienia o samotności, czułości imitującej miłość, bliskości maskującej oddalenie, otwarcia dla "monad bez okien", szczerości w świecie kłamstwa, fizyką i metafizyką jednocześnie, a także rynkiem, na którym rządzą reguły podaży i popytu. Aby uchwycić problem współczesnego erotyzmu, wystarczy rzucić okiem na erotyzm u Platona: erotyzm platoński był główną siłą pociągającą człowieka "ku górze" i umożliwiającą mu uczestnictwo w świecie idei; erotyzm współczesny, jeśli nie ciągnie człowieka "w dół", to w każdym razie "wodzi" go po płaszczyźnie od pułapki do pułapki. Na erotyzmie wycisnął swe piętno współczesny kryzys nadziei. Akceptuje się go i ubiera w wielorakie znaczenia pod warunkiem, że będzie erotyzmem bezpłodnym. Czy nie odkrywamy tutaj jakiegoś pokrewieństwa z mitem Edypa? Czy erotyzm Edypa nie został porażony lękiem przed kazirodztwem? Porównajmy Edypa z Abrahamem: dla Abrahama "nadzieja zamieszkała w ciele", dla Edypa w ciele mieszka przekleństwo kazirodziej płodności. Dziś nie mówi się o kazirodztwie, lecz o śmierci: ciało jest skazaniem na śmierć. Celem życia jest śmierć - jesteśmy rozciągniętym w czasie "Sein zum Tode". Kto daje życie, obiecuje śmierć. Nowożytne ujęcie erotyzmu stało się możliwe dzięki technice. Technika wkroczyła w intymność kobiety i mężczyzny. Jej głównym zadaniem jest "zabezpieczenie", czyli ochrona przed lękiem. Gdy w innych dziedzinach życia technika służy nadziei pozytywnej: utrzymania życia, zdrowia, ochrony przed głodem i chłodem, to tutaj ma jedynie cel negatywny: chronić przed tym, co naturalne. Jest narzędziem wolności, która mówi "nie". W imię czego to "nie"? Oczywiście, można podawać wiele powodów. Gdy się im jednak bliżej przyjrzeć, okazuje się, że nie dowodzą niczego więcej ponad to, że w pewnych szczególnych sytuacjach trzeba być "wrozumiałym" dla słabości człowieka, który nie jest w stanie poradzić sobie z własnym erotyzmem. Nic ponad to, co wiemy z Ewangelii: "Twarda jest ta mowa i ktoś jej słuchać może". Nazwałem wyżej opisane stanowisko "liberalizmem". Słowo to ująłem jednak w cudzysłów. Nie jest bowiem rzetelnym liberalizmem stanowisko, które troszczy się wyłącznie o to, czy "partner chce czy nie chce", nie biorąc zupełnie pod uwagę "tego trzeciego" - jego wolności i jego oczekiwania na odpowiedzialność. Uwzględniając tę wolność, Papież okazuje się bardziej autentycznym liberałem niż jego krytycy. MITOLOGIA WŁADZY W sporze wokół polityki chodzi o nowe określenie stosunku władzy religijnej i władzy świeckiej, zapoczątkowane przez Sobór. Kościół zerwał z ideałem państwa wyznaniowego, pojechał się z zasadami demokracji, uznał prawa człowieka za fundament życia państwowego. Kościół nie chce przywilejów w państwie, chce natomiast korzystać z wolności przysługującej wszystkim, między innymi z wolności publicznego wyznawania wiary. Kluczem są "prawa człowieka"; nie "prawa katolika" czy "prawa Polaka", lecz prawa człowieka. Ani katolik, ani Polak, ani nikt inny, nie mogą mieć w państwie większych praw niż ma człowiek. Koncepcja Jana Pawła II natrafiła na podwójny sprzeciw. Z jednej strony sprzeciw rzeczników radykalnej laicyzacji państwa, z drugiej sprzeciw katolickich integrystów. Sprzeciw pierwszy dążył do usunięcia wszelkich przejawów sacrum ze sfery publicznej. Sprzeciw drugi dążył i dąży do tego, by sacrum służyło jako ostateczna legitymizacja władzy państwowej, w zamian za co władza państwowa będzie służyć jako ochrona, a w niektórych wypadkach jako przedłużenie władzy Kościoła. Pierwszy charakteryzował czasy komunizmu, drugi znamionuje integryzm naszych czasów. Zatrzymajmy się przy drugim. Nawiązując do doktryny "Action Française" Charlesa Maurrassa, abp Marcel Lefebvre pisał: "Państwo ma więc wobec Kościoła funkcję służebną, rolę sługi: realizując swój cel, państwo musi zdecydowanie, choć pośrednio, wspomagać Kościół w osiągnięciu jego celu, to znaczy zbawiania dusz". Dla poparcia tej koncepcji

autor cytuje między innymi papieża Leona XIII: "Kościół bez państwa to dusza bez ciała. Państwo bez Kościoła to ciało bez duszy". Abp Lefebvre broni nadal koncepcji katolickiego państwa wyznaniowego. Państwo takie jest możliwe w krajach, gdzie katolicy stanowią większość. Ustanawia ono wyraźną różnicę między katolikami, którzy są "nosicielami prawdy" a niekatolikami, którzy "żyją w błędzie". Katolicy nie prześladują wprawdzie niekatolików, "tolerują" ich błąd, starają się jednak ograniczyć jego obecność w publicznej sferze życia i pomniejszyć wpływ na społeczeństwo. W "katolickim państwie" władza państwowa jest "przedłużeniem królowania Pana naszego Jezusa Chrystusa". Doktryna abpa Lefebvrea nie znalazła szerszego uznania na Zachodzie. Trafiła jednak na podatny grunt w krajach postkomunistycznych, a zwłaszcza w Polsce. Upadek komunizmu częściowo ujawnił, a częściowo pobudził do powstania integrystyczne ruchy polityczne, dla których idea katolickiego państwa wyznaniowego była czymś naturalnym. Można to rozmaicie tłumaczyć. Niewątpliwie pewną rolę odgrywała nieznajomość doktryny soborowej. Innym czynnikiem była działalność zorganizowanego "ruchu katolików społecznie postępowych Pax" i jego antydemokratycznej i nacjonalistycznej ideologii. O wiele ważniejszym powodem były jednak oczekiwania społeczne. Kościół wyszedł z komunizmu umocniony. Katolicy mieli opinię ludzi o "czystych rękach". Uważani byli za ludzi dobrze poinformowanych w sprawach "dobra wspólnego". Etykieta: "chrześcijański" lub "katolicki", dawała ugrupowaniu, które sobie ją przyklejało, większe szanse w wyborach parlamentarnych. Główny błąd ruchu integrystycznego polegał na tym, że uczynił on z wiary religijnej środek do zdobycia władzy politycznej. W dobie Oświecenia powtarzano: "Gdyby nie było religii, należałoby ją stworzyć". W Polsce religia była, chodziło tylko o to, by przy jej pomocy wykluczyć z dążenia do władzy przeciwników politycznych. Przeciwnik polityczny stawał się przeciwnikiem religijnym - "poganinem" lub co najmniej "gorszym katolikiem".

Podziały polityczne wtargnęły do wnętrza Kościoła. Język dialogu przemienił się w język podejrzeń, oskarżeń i demaskacji. Pojawiły się ostre ataki na konkurencyjne autorytety społeczne, powstałe w czasach walki z komunizmem. Po kolei niszczone wszystkie, nie oszczędzając najbliższych. Mnożyły się ataki na wolnorynkowe reformy gospodarcze. Rozpalano płomienie dewocji. Przedmiotem krytyki stała się także - bliska Papieżowi - idea integracji europejskiej.

Do głosu doszły antysemityzm i nacjonalizm. A wszystko to - pod szyldem "jedynie słusznej" wersji katolicyzmu, nierzadko u stóp wizerunku Ukrzyżowanego lub Matki Bożej. Znamienne, że nagły rozkwit katolickiego integryzmu, rozbudzenie dewocji i wyzyskanie jej w celach politycznych, nie spotkały się z żadną krytyką ze strony przedstawicieli katolickiej nauki społecznej. Teologowie milczą.

Przed kilkoma tygodniami ukazał się list apostolski Jana Pawła II "Ad tuendam fidem", zobowiązujący teologów do przestrzegania nie tylko dogmatycznej nauki Kościoła, ale również "nauki autentycznej", która choć nie stanowi dogmatu, to jest nauką wspieraną autorytetem Urzędu Nauczycielskiego. Na Zachodzie przyjęto ten fakt jako nowy przejaw "autorytaryzmu Papieża" i upomnienie dla katolickich

"liberałów". Pamiętajmy jednak, że nauką taką - niedogmatyczną, ale autentyczną nauką Kościoła -

jest dziś również doktryna praw człowieka. Jeśli tak, to trzeba uznać, że list jest co najmniej w równie mierze skierowany do religijnych i politycznych integrystów, dla których pojęcie praw człowieka jest wciąż nie do strawienia. ZMIENNOŚĆ I TOŻSAMOŚĆ Sobór Watykański II podjął dzieło reformy Kościoła. Reformy tej nie zakończył. Dalsze jej prowadzenie spadło na barki papieży. Wyłonił się podstawowy problem: jak ocalić tożsamość Kościoła w procesie zmian? Żywym znakiem tożsamości jest sama postać Papieża. Ale papieżowi, które trwa w czasie, grożą dwa

niebezpieczeństwa: skostnienie w świecie bez historii i zmienność gubiąca wszelki związek z historią.

Aby uniknąć obu skrajności, trzeba było zrozumieć głębiej sens tradycji. Zbliżyliśmy się do rozumienia istoty tradycji, gdy określimy ją jako "wybór przeszłości, dokonywany wedle nadziei przyszłości".

Tradycja jest przede wszystkim wyborem. Nie jest to dzieło konieczności, lecz owoc wyborów:

"Uczyniwszy na wieki wybór, w każdej chwili wybierać muszę". Wybór jest umieszczony w czasie: ma za sobą jakieś wspomnienia i przed sobą jakieś nadzieje. Nadzieja jest ważniejsza od wspomnień, nadzieja ożywia pamięć. Dzięki niej możemy odkrywać coraz to głębsze skarby przeszłości.

Dobrym przykładem jest dokonany przez Sobór wybór języka narodowego w miejsce łaciny.

Ewangelia jest Dobrą Nowiną. Od przyjęcia tej Nowiny zależy zbawienie człowieka. Czy można głosić nowinę w języku, który dla słuchacza jest niezrozumiały? Gdy łacina była językiem powszechnie zrozumiałym, mogła służyć Objawieniu, gdy nim być przestała, stała się barierą. Zmiana języka okazuje się potwierdzeniem, a nie zaprzeczeniem tradycji. Papież jest uosobieniem takiego "sięgania w głąb" - uosobieniem wolności wedle nadziei. Swą własną osobą dopełnia on wyboru Chrystusa

wedle nadziei na spotkanie z Chrystusem. W tożsamości tego wyboru znajduje zakorzenienie "My" Papieża - "My" tego, kto mówi, z kim mówi, dla kogo mówi i zamiast kogo mówi. Tożsamość

buduje się wśród sprzeczności świata. Budowaniu temu towarzyszą dwa przeżycia z drogi do Emaus: "...a myśmy się spodziewali" i "czyż serca nasze nie pały, gdy oczy nam otwierał?" Obecność obu przeżyć w trwającym pontyfikacie Jana Pawła II dowodzi także - wbrew pozorom - tożsamości